Lwów, 13. Czerwca Nr 70. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobote*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. — półroczna **3** Złr. — kwartalna **1** Złr. **30** kr. — miesięczna **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr. — półrocznie **4** Złr. — kwartalnie **2** Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr., za następ. po $1\frac{1}{2}$ kr. i za dopłatą **10** kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*.

GWIAZDA.

Epizod z życia wygnańca.

(Ciąg dalszy.)

Ponieważ w mojej kazamacie nic widzieć nie mogłem, nie opisuję wam zatem wrażenia, jakiego na jej widok doznałem. Musiałem cierpliwie czekać, póki ciemna kortyna niebios nie spuści się na dół, a żyjącym na ziemi nie odsłoni sceny tego olbrzymiego, bezpłatnego widowiska. W moim dramacie było to krótkie *intermezzo*, w którym, zbierając wrażenia przeszłe, mogłem się sposobić do nowych, które nadejść miały. I w opowiadaniu mojem korzystam z tej chwili wytchnienia i wracam znowu do głównego mego tematu. Założyłem bowiem sobie, skreślić wam obraz tajemniczego duszy i serca działania, i to w takich okolicznościach życia, w których mając najmniej wrażeń zewnętrznych, żyjemy życiem duchowem, w całej jego potędze i pełni. Nie bawię was intrygami, nie wyprowadzam wiele osób na scenę, aby przechodząc przez nią, bawiły was różnością ubiorów i fraszek. Ale wam daje obraz serca i duszy, i tego, czem one są w stosunku do życia. — Cała przyroda, niewyłączając człowieka, ma pewne chwile namiętne, gorące, w których potęguje się światło i cień, ruch i życie. Są to chwile natchnienia. W takiej to chwili musi artysta schwycić koloryt gór, drzew i nieba, aby obraz miał życie. Wprawdzie dla ludzi, którzy tych namiętnych chwil przyrody nie rozumieją i nie pojmują, będzie to obraz nienaturalny, koloryt przesadzony, rysunek za idealny; ale czyje serce jednej z takich chwil natchnionej natury zawtórowało, ten ujrzy w tym obrazie prawdę, zachwyci się. Takie chwile spotęgowanych namiętności i natchnienia ma i historya, to jest społeczeństwo ludzkie. Człowiek, jako cząstka tego ogromu, jako kamyk jeden tej niezmiernej mozaiki, uważany w sobie jako całość niepodległa, jest zupełnym, lubo zmniejszonym obrazem tego życia, które rozlane w bezkreśnym przestworze, cieniuje się i rozpromienia w sto tęcz, sto odblasków, dojrzanych dla oka tych, którzy oderwani od tradycyjnych społeczeństwa nałogów, spojrzą nań źrenicą serca i duszy.

Wierzę, że subtelne zgłębianie tajników duszy, może wam się wydać dziwacznem, jak niemniej dziwaczną wydaje wam się moja awantura nocna. Sąd wasz opieracie na zwykłych ogólnikach. Chciejcie jednak zważyć, że każdy ogólnik ma wyjątki, i że najsłuszniejszym wyjątkiem z waszych ogólników byłem — ja sam.

Wyrzucony gwałtownie ze zwykłego biegu rzeczy, błąkałem się śród obcych ludzi, jak nieodgadniony, z torów swych wypchnięty kometa, którego pojawienie się zatrważa. Błąkałem się jak kula, która chybiła celu. Przeklinano niewinną, że przechodzącym zagraża, a nikt nie wspomniał sobie, że winę nosi ręka, która ją źle puściła. Życie moje, uczucia, myśli, marzenia i nadzieje przecięto na pół, i z tą połową wyszedłem pod obce niebo, gdzie nie mogłem żyć ani umierać. Drugą połowę mojej istoty zostawiłem w ziemi rodzinnej, a ból mój był tem większy, że nie wiedziałem, ażali pozostała połowa życia mego nie uleczy błon swoich i nie wyrośnie w samoistny polyp, wyrzekając się swego wyższego przeznaczenia. Zawieszony między niebem a ziemią, między nadzieją a śmiercią wahałem się jak zawieszone między dwoma magnesami żelazo, nie mogąc znaleść punktu spoczynku i wytchnienia. Wrażenia zewnętrzne odbijały się na mojej duszy jak na śklistej skorupie, nie dochodząc do jej łona. Życie jej pozostało czyste; nietknięte żadnym nowszym zasiłkiem wyrabiało w sobie uczucia i wrażenia z ziemi rodzinnej, i w miarę odległości miejsca i czasu, potęgowało takowe do barw i kształtów ideału. — Czem więcej cierpiałem, tem więcej wiary sączyło się do mojej duszy, wiary w ideały, które zamieszkały pomiędzy ludźmi, jak światło słońca, rzucone pomiędzy miryady ciemnych ciał niebieskich. Wierzyłem że w koło tych świateł mniej doskonałe bryły krążyć muszą, bo wyższa potęga pierwszych przyciągała je ku sobie.

Żyjąc w mojem nieszczęściu życiem odrębnem, samoistnem, spotęgowałem w sobie wszystko to, co kiedy myślą lub uczuciem we mnie wpłynęło, a co się odtąd stało wyłącznym pokarmem duszy i serca. Była to wprawdzie smutna jednostronność życia; ale tak było. Żywiłem się tem, co innym tylko na przyprawę dano; więc nie powinna was dziwić moja tkliwość i drobnostkowość, bo ze zwróconem na wewnątrz okiem, badałem najleksze rozbudzonych uczuć odcienia. Uczyłem się anatomii ducha ludzkiego, a między mną a uczniem kliniki ta chyba zachodziła różnica, że ten odbywa studia z nożem w ręku na trupie, a ja je odbywałem na sobie za życia. Otworzyłem pierś moją i położyłem rękę na drgającem sercu, liczyłem jego bicia, mierzyłem siłę jego pociągu i wstrętu.

Do jakichże więc rezultatów doszedłem?

Otó, że człowiek ma duszę, którą myśli, i serce, które czuje a uczuciem odgaduje, że życie jego na ziemi, jest to mały rapsod tego wielkiego życia w naturze, do którego sposobić się trzeba, kształcąc duszę i serce, że wiele, bardzo wiele ludzi gaszą lekkomyślnie w swem łonie te dwa boskie ogniska, a na miejsce tychże stawiają sztucznych bożków, a ze środków czynią cele ostateczne.

Przy takiem więc usposobieniu, przy takiem odumarciu na zewnątrz, przy tak spotęgowanem życiu nerwowem, możecie się dziwić, że zdarzenia i postacie, puszczone przez taki pryzmat, rozprysły się w mem sercu na tysiące barw i kształtów, o których wy, żyjący życiem rzeczywistem, ani zamarzyć nie możecie? Powiecie, że wrażenia moje, które w kilku chwilach na ulicy zaznałem, były złudzeniem, skutkiem jakiejś choroby nerwowej. Nie mogęż ja tego samego twierdzenia użyć przeciw wam? Nie mogęż wyrzec że bezwzględna negacya obcowania duchów i tychże istnienia jest skutkiem choroby fizycznej? Prawda, że suchoty są chorobą: niejestże nią równie niezwykła otyłość?

Nie przeczę zresztą, żem się łudził, że to, co w tej kobiecie i jej głosie znaleść chciałem, z własnej wydobyłem duszy, i odziałem je w te fantastyczne błyskotki, w jakie odziewa dziecko drewnianą lalkę. Ale to być nigdy nie mogło. Nie wyszedłem na ulicę chciwy marzeń i awantur, nie niósłem z sobą gotowych ram do powieści, w które mógłbym włożyć pierwsze lepsze ujrzane postacie i je blaskiem fantazmagoryi oświetlić. Szedłem bez myśli, bez marzenia, jak więzień do otwartej swojej kaźni: co większa, nie mając już swojej przeszłości, szedłem bez nadziei przyszłości.

Na jej głos dopiero uczułem w sobie prąd życia, a jej uścisk był za silny dla budzącej się dopiero z letargu duszy; — on ją zabił.

Wrażenie jednak to było zupełnie bez egoizmu. Żadna myśl nie powstała we mnie, żebym tę kobietę mógł kochać, lub od niej wzajemności żądać. Uczucie moje było czemsiś więcej, niżeli uczuciem miłości. Że mnie tem samem uczuciem wzajemną była, o tem nie wątpiłem; ale zkąd to wiedziałem? o tem nie mogę zdać sprawy.

Uczucie moje nie było uczuciem niepokoju, tęsknoty, jakiejś żądzy nieokreślonej; przeciwnie, było to jakieś błogie ukojenie i głęboki, jednostajny spokój, i błoga rezygnacya tego, co nam sprawia tutaj boleść i cierpienie. Jak tamte uczucia cechują miłość ziemską, tak te są słabym obrazem tego niepojętego szczęścia, które ma być udziałem duchów w nagrodę ich czynów dobrych.

Niemówię wam więc, żem się zakochał i w szale tego uczucia fantazyował, ale mówię wam, że w tej nieznajomej kobiecie, której już nigdy widzieć nie miałem, znalazłem, co mnie nagle do niej przyciągnęło, i dziwnym wpływem jakiegoś uzdrawiającego magnetyzmu moją boleść zmniejszyło. Wiedziałem, że pod tem obcem nazwiskiem jest ktoś, co mnie nie tylko zrozumieć może, ale jest mnie nawet pokrewnym duszą i boleścią życia: chciałbym tylko chwil kilka być przy niej, jej się zwierzyć z tem, co najmocniej mnie dolega, a biorąc z jej serca kilka drogich łez współczucia, poszedłbym niemi ukojony, na dalsze burze mègo żywota.

Lecz do świadomości tego czystego uczucia przyszedłem dopiero po wielkiej, wewnętrznej walce. Zdaje się że wrażenie to napotkało w mem sercu różne przeszkody, a nim się do blasku i przezroczy bóstwa wyklarować mogło, musiało przebyć proces rozkładowy, który w niem poniszczył atomy ziemne.

Tak usposobionego zastał mnie brzask dniowy i pozwolił spokojnie rozpatrzyć się w mojem ciaśniejszem więzieniu.

Że mnie uwięziono, nie dziwiłem się wcale. Były to u mnie zdarzenia peryodyczne, z tą tylko różnicą, że z początku pojawiały się jak dzieła uczonych akademii francuskiej, w nieco odleglejszych interwalach: poźniej jednak poczęły maleć na poszyty, ale za to przychodziły często jak „Revue de deux mondes." Przywykłem wreszcie do tego, jak się przywyknie do gazety, a w końcu nawet rozmiłowałem się w tem.

Zkąd to się jednak brało, łatwo wam wytłumaczyć.

Chodziliście pewnie do szkoły i wiecie, że w każdej klasie był ktoś, „co gładził grzechy" szkolnego uniwersum. Gdy w klasie powstał mruk nieukontentowania, ten „ktoś" odbierał za to plagi. Gdy sprawca jakiego figla nie mógł być wykryty, ten „ktoś" „dla przykładu" poniósł wzorową karę. Ktoś zagwizdnął — nasz „ktoś" sposobi się już do poświęcenia jak drugi Regulus, za koleżańskie uniwersum! I któż jest ten biedny „ktoś?" — Oto, ofiara zbiegu okoliczności, że raz na podobnym figlu złapany i ukarany został! Fatalna to konstelacya, pod którą taki „ktoś" się znudzić musi! a że każde „fatum" ma być nieubłagane, więc z wielkim stoicyzmem przyjąłem ten wybryk mego dziwacznego losu i począłem się swobodnie po mojej kazamacie oglądać.

Z okrągłem sklepieniem podobną była ona do arbuza, w jakim „Münchauzen" radzi łapać dzikie kaczki. W istocie przyrównanie to miało tyle prawdopodobieństwa, że tylko dzikich kaczek brakowało.

Zaledwie bowiem kilka cali niżej okna, biła o granitową ścianę fala wody, puszczonej kanałami w około fortecy. Na pięć łokci od okna zamykał się mój widnokrąg sterczącą równie z szarego granitu ścianą, która formowała stromą spadzistość drugiego okopu. Prędko więc skończyłem ten przegląd, bo był mały, treściwy i nader pojedynczy. Łóżko, stołek i dzbanek z wodą, otoż cała treść tego, cztery kroki w szerz i wzdłuż mającego apartamentu. Po tem sumarycznem zapoznaniu się z miejscowością,

w której poczynał się dramat nader nudny, począłem przemyśliwać nad możliwemi powodami, które śród mojej dziwacznej awantury, zaimprowizowały ten niespodziany epizod.

Dopiero po uspokojeniu się wrzących władz moralnych, poczęła mnie się rzecz wyjaśniać. „Portemonnais,“ którym moja „straniera“ tak spaniałomyślnie rozrządziła, zawierał kilka notatek niewinnych, a przedewszystkiem bilety z mojem nazwiskiem. Myśl więc, że zbieg jest złapany a mój „portemonnais“ przy nim, jako *corpus delicti* znaleziony, pogrążyła mnie w myśli nie nader przyjemne.

Forteca bowiem była w stanie oblężenia; wszystko więc podlegało władzy wyjątkowej. Ktokolwiek bądź inny, obwiniony o danie pomocy zbiegłemu więźniowi fortecznemu, byłby podpadł zwykłej karze, która w takich okolicznościach na podobne przestępstwa wyrzeczona bywa. Zemną jednak miała się rzecz inaczej. Przestępstwo to z mojej strony mogło by się opierać na powodach dalej sięgających a co najbardziej, odebrałoby mnie ostatni szczątek nadziei, jaką dla mojej przyszłości w spokojnem i przyzwoitem mojem zachowaniu się widziałem. Fatalne to zdarzenie ostatnie rozstroiło wyciągnioną strunę moich marzeń do życia na ziemi rodzinnej, i strąciło mnie w przepaść, bez ratunku.

Obok tej straconej już na zawsze nadziei życia rzeczywistego, w jak złudnych kolorach promieniły się w mojej pamięci powzięte tej nocy wrażenia! Znanym powszechnie pewnikiem jest, że sparaliżowana jedna strona życia człowieka, wlewa swe życie w inną, potęgując i podnosząc jej strój i głos. Przerażony następstwem tak fatalnego zdarzenia, wzdrygnąłem się, a skon moich, mozolnie skombinowanych nadziei, rozpoczął się. Lecz w miarę dogorywania tychże, odzywała się tem głośniej fibra uczucia, i tem silniejszemi zabrzmiała akordy. A z najdziwaczniejszych, eterycznych tonów uplotła się nagle jakaś nieznana mnie dotąd melodya, która jak płaczka na pogrzebie mojej przyszłości, śród płaczu i jęku, rzuciła kilka tonów śpiewnych, i harmonijnych, by niemi ukoić rozstrój serca a ducha uwieść w krainę zaświata!....

Zdawało mnie się, że nieszczęście moje przy wiedzy tej wyższej, dziwną potęgą nademną czuwającej istoty, nie mogło być tak niebezpieczne, jak je z początku zimny rozkład rozumu przedstawił.

Po krótkiej walce uwierzyłem sercu, i uspokoiłem się po raz wtóry. Raz, że uczucie moje, dziwne i szczególne, było uczuciem czystem, i więcej duchowem, niżeli je Platon przedstawia; drugi, że wypadek fatalny, przy opiece nieznajomej, mnie przyjaznej osoby, wszelki zły pozór utracić musi.

Spokojnie, z wypogodzonem czołem, czekałem dalszego biegu rzeczy. Dla rozerwania się chodziłem po kazamacie i czytałem napisy na murze, w najrozmaitszych na świecie językach. Śród tego zatrudnienia jednak patrzyłem co chwila na drzwi dębowe, pokrzyżowane sztabami z żelaza i dziwnie gwoździami jak trumna wybite, rychłoli do więźnia się otworzą. A czy zgadniecie kogo oczekiwałem?.... Ją oczekiwałem; dla czego? z kąd? na co?... na to wam nie odpowiem. Serce mnie mówiło, że będę z nią mówić. Wprawdzie było to rzeczą niepodobną, a może dla mnie szkodliwą, jednak — serce mnie wierzyć kazało.

I w samej rzeczy koło dziesiątej godziny, usłyszałem brzęk kluczów. Drzwi moje skrzypnęły. Czy uwierzycie kogo ujrzałem? Niestety! Zamiast mego anioła opiekuńczego, ujrzałem nos czerwony, czarne, potężne wąsy i siwe jak mleko bakenbarty. W tych rysach niebyło wcale wdzięku geniusza opiekuńczego, ale przecież pewny wyraz typu *opiekuna*, jak go biedne sieroty pojmują.

Oznajmił mnie grzecznie i słodko, że jeden z moich znajomych wywiązując się z długu u mnie zaciągnionego, złożył w kancelaryi nadzorczej winną mnie sumę. „Możesz pan nią rozrządzać dowolnie — dodał z dowcipnym uśmiechem; a co do wiktu, takowy, zdaje się, będzie f r a j. Bodajto młodym być, ciągnął dalej, wnosząc z korytarza spory kosz do kazamaty — to i damy zajmą się nim, gdy go nieszczęście zdybie. A o starym i pies by nie zawył.

Z całą kurtoazyą i uśmiechem dyplomaty, rzekłem profosowi kilka słów, pochlebnych dla jego czarnych wąsów a siwych bakenbartów, przyczem i czerwony nos nie obeszedł się bez sporej szczypty kadzidła.

Tymczasem z kosza poczęły wychodzić różne garnuszki i garnuszeczki, przysmaki i przysmaczki, słowem stało przedemną śniadanie, urządzone i zastawione z całym komfortem wyższego towarzystwa.

— Czy mogę wiedzieć kto o mnie pamiętał?

— Poradź się pan w okolicy serca, a może i ja wtedy się dowiem.

Domawiając tych słów, uśmiechnął się przyzwoicie, i jeszcze przyzwoiciej drzwi za sobą zamknął.

Z jakąż ciekawością oglądałem każdą drobnostkę tęgo śniadania! We wszystkiem widziałem jej pamięć dla mnie, jej staranność ulżenia mnie cierpień, których przyczyną była sama. Lecz w głębi duszy darowałem jej tę porywczość i nierozmyślność, a nawet cieszyłem się z tego, że miałem teraz sposobność, zajmować ją moją osobą, a nawet... nawet ją mojem cierpieniem zobowiązać.

Tyle próżności mieści się w naszem sercu, śród najwznioślejszych jego uczuć!...

(C. d. n.)

Nad Wisłą.

Oj Stachu, miły Stachu!
Oj ciecze woda z dachu,
Oj wiosna da wiosenka,
Niedługo lód popęka!
Oj zima, twarda zima
Oryla*) w chacie trzyma,

*) Oryl, flis, żeglarz na Wiśle.

Pod śniegiem trawkę młodą,
A jaskółkę pod wodą.
Oj zima, twarda zima,
W chałupie drzewa niema,
Ni chrustu na ognisko,
A słonko jeszcze nisko.

Ptaszek się w wodzie pluska,
Do lasa jedzie zwózka.
Wyciągaj Stachu wiosła,
Bo woda lód podniosła.
Pan Jezus oj łaskawy!
Niedługo przyjdą spławy,
A do kalety grosze,
Co ją na sobie noszę.

. . . .
Oj dalej Stachu dalej,
Pośrodkiem kra się wali.
Sroga jakby moc boża,
Wisła się rznie do morza;
A my dzieci tej wody,
Na hulanki, przygody,
Na galary a śmiało,
Ażeby aż zagrzmiało.

Hej retmany! retmany!
Pójdźcie nad brzeg wiślany,
Słoneczko wam przyświeci,
Kulik przodem poleci,
I ten bocian daleki,
Tęskny do naszej rzeki,
I ta wronka siodłata,
Co nad sosny podlata,
I kruki niespokojne,
Co się kupią na wojnę,
Co się chmurą tak garną,
Że na śniegach aż czarno;
Poleci i skowronek,
Żeby ośpiewać dzionek,
I po wodzie, po szklistej
Wiatr powieje ojczysty.

Oj powiej wiatru wschodni,
Bośmy już wiosny godni,
Czy godni, czy niegodni,
Powiej wietrzyku wschodni......

T. Lenartowicz.

Wspomnienie o Stanisławie Starzyńskim

(z podróży Franciszka Kowalskiego.)

Nakoniec, stanąłem u kresu mojej podróży, Zamiechowie, należącym podówczas do Stanisława Doliwy Starzyńskiego. Mieścina, jak zwykle u nas, żydowska, ale położeniem swojem mile zajmująca oko. Leży nad skalistym jarem; domy zasypane aż w dół do rzeczki, podsycanej licznemi źródłami, z boku jaru wytryskającemi. Rynek ozdobiony pięknym, przez samegoż Starzyńskiego wystawionym kościołem, który przy mnie dopiero ukończonym został. Ja to na marmurowej płycie, umieszczonej nad wchodowemi drzwiami, własnoręcznie wykreśliłem napis: *Immortali mortalis*. Myśl tę wziąłem z pięknej gotyckiej kaplicy w Zaborolu pod Łuckiem.

Mały, ale stromy i głęboki, pełny źródeł, skalisty parów, idący prostopadle do wielkiego wąwozu, oddziela w Zamiechowie miasteczko od dworu i dworskich ogrodów. Dom porządny o piętrze, z pięknym dziedzińcem, oficynami, stajniami, ujeżdzalnią, był mieszkaniem Stanisława Doliwy Starzyńskiego, który w nim sam jeden siedział, dumał, czytał i pisał. W chwili mego przybycia był on w polu przy jakichś gospodarskich robotach, bo mu literatura nie przeszkadzała w gospodarce. W krótce powrócił i serdecznie ucieszył się mojem przybyciem. Po herbacie oprowadzał mię wszędzie w domu, koło domu, po ogrodzie i t. d. Wróciwszy, zauważałem, że nad wchodowemi drzwiami domu była wmurowana marmurowa tablica, ale bez napisu. Na moje zapytanie odpowiedział gospodarz, że ma ku temu myśl gotową, ale nikogo znaleść nie może, coby mu ją pięknie, kaligraficznie wykreślił. Ja się podjąłem tej roboty i w kilka dni stanął na tablicy filozoficzny jego pomysłu napis:

„Chceszli być szczęśliwym, zajmuj miejsca mało i mało je odmieniaj.“

Wtedy, w mojem przekonaniu, szczęśliwym był Starzyński. Nie odmieniał miejsca i wszystko mu się uśmiechało, zdrowie, majątek, przyjaźn, o miłości tylko nie słyszałem; żadnych nie miał prozaicznych obowiązków, żadnych kłopotów, swoboda umysłu najzupełniejsza. Trzeba było trzymać się aż do końca swojego miejsca i nigdy go nie odmieniać; ale on właśnie postąpił później wbrew swemu na tablicy napisowi, bo przedawszy raptem Zamiechów, kilka razy zmieniał siedzibę. Z Zamiechowa przeniósł się do miasteczka Zbrzyzia nad Zbruczem, gdzie sobie kupił małą cząstkę. Raz mu doniesiono, że jeden z jego nowych poddanych, z przyczyny hulanki, przedał na jarmarku parę wielkich wołów, a kupił dwa małe byczki. Rozgniewany dziedzic zaczął go mocno strofować za takie marnotrawstwo, ale roztropny chłopek zkonfundował go rezolutną odpowiedzią: «ja tak zrobiłem jak pan, coś przedał Zamiechów, a kupił sobie nędzną część w Zbrzyziu.“

W Zamiechowie ja byłem nieodstępnym prawie towarzyszem Starzyńskiego. Mieszkałem w ogrodzie, w pięknym domku, zwanym łazienką, otoczonym drzewami, gdzie wiosną i latem brzmiała bez ustanku urocza pieśń różnego ptactwa, a słowiki wglądały w moje okienka, jakby się dowiadując, czy się zachwycam ich czarodziejskim śpiewem, czy też piszę dla nich sielanki? Od mego domku kręta uliczka śród gęstych drzew i krzewów zbiegała na dół do sadzawki, wyłożonej kamieniem, napełnionej źródlaną wodą, z której rączy strumień skacząc po kamieniach, pędzi do gorzelni, a ztamtąd rzuca się z łoskotem ku bystrej rzeczce, szumiącej w głębi wąwozu.

Siedząc tedy w mojej łazience, obok lektury zajmowałem się pisaniem, ułożywszy sobie przepolszczyć całego Moliera, do czego mnie Feliński i Kropiński zachęcali. Dziś widzę, że komedye Moliera, jak są w oryginale, nie przystoją wcale do epoki naszej. Nastały zupełnie inne czasy, inne obyczaje, inne warunki przyzwoitości. Ale należy oddać Molierowi sprawiedliwość i nie uwłaczać jego wielkim zaletom i zasługom; on pierwszy pokazał komedyę prawdziwą i w naśladowaniu Plauta, Terencyusza, oraz Hiszpanów i Włochów, umiał swym sztukom nadać barwę oryginalności, a w malowaniu charakterów przewyższył współczesnego sobie, najsławniejszego z poetów, Rassyna.—Niewyczerpany jego komiczny dowcip, najweselsze i najśmieszniejsze żarty, ironia, żywość działania osób, najprawdziwszemi malowane kolorami, dziś jeszcze nawet zajmować mogą. Wszyscy najlepsi później komicy musieli czytać i studiować Moliera. Sztuki więc jego, chociaż dziś na scenie, tak jak są, wystawione być nie mogą, jednakże dla niezaprzeczonych jakie w nich jaśnieją zalet, od wszystkich, mianowicie pisarzy komicznych, czytane być powinny. To mnie w Krzemieńcu jeszcze skłoniło do tłumaczenia Moliera; ale starałem się ile możności przebrać go w strój polski. Zresztą, w epoce kiedym nad nim pracował, literatura nasza żyła nie własnem, ale pożyczanem, łacińskiem i francuskiem życiem; a ja stojąc na pograniczu dwóch piśmiennictwa okresów, chciałem według sił moich służyć poczciwej sławie.

Starzyński odwiedzał mię prawie co rano, zawsze mię przy stoliku zastawał. Czytałem mu com napisał, a on mi wzajemnie czytał swoje utwory. Jeżeli sam u mnie nie był, to przysyłał człowieka z zapytaniem: ilem tą razą wierszy napisał? Raz odpowiedziałem, że tylko cztery; po chwili przysłał mi cztery wyborne jabłka. Ja widząc, że jabłka i inne ogrodowe owoce są rymów zapłatą, na każde takie poselstwo odpowiadałem podwójną albo potrójnę liczbą napisanych wierszy, i miałem tyleż doskonałych jabłek, gruszek, winogron i t. p. Ja tylko nie miałem czem odpłacać za jego wyborne piosnki. Z Beranżera kilka ślicznie przetłumaczył. Pisał także wiele erotycznych elegij, ale te były za nadto mdłe i wodniste; sam nawet nie miał wielkiego w nich upodobania, czego dowiódł później, cały ich zbiór rzuciwszy w ogień. W papierach swych Starzyński był bardzo niedbały i nieporządny. Pisał zawsze rankami, najczęściej na drobnych świstkach, które rozpraszał w koło po pokoju, i nieraz porwawszy jaką elegiję lub piosnkę, fajkę zapalał. Takim sposobem bardzo być może, iż nie wiele z jego utworów uniknęłoby zatraty, gdyby nie Julian Sabiński z Bednarówki, bliski jego krewny, pełen zdolności młodzieniec, wychowaniec Rajmunda Korsaka z Babczyniec, który jego poezye własną ręką pięknie we dwóch tomach przepisał. Nie wiem gdzie się teraz ten rękopism obraca: śliczne tam były rzeczy, ze wszech miar godne ogłoszenia. Ten p. Sabiński do Zamiechowa jeździł, bawił po kilka tygodni i wszystkie porozpraszane Starzyńskiego świstki starannie zbierał, porządkował i przepisywał. Tak swoją ręką przepisanych kilka zeszytów pieśni i innych ulotnych poezyj, sam chował w jego tekę. Był to człowiek niepospolitych zalet serca i rozumu, pełen nauki, obdarzony pięknym muzycznym talentem, śpiewał prześlicznie i tworzył stosowne motywy do piosnek Starzyńskiego. Ale co to za piosnki! pewnoby nie ustąpiły Beranżerowskim, a byłoby ich najmniej dwa spore tomy; tworzył je Starzyński z niepojętą łatwością. Raz byliśmy razem w Boguszówce u PP. Dunajewskich, o maleńką milę od Zamiechowa, a tam zawsze wesoła zabawa, bo ją ożywiało kilka ładnych panien: Tańce trwały do późna. W przerwie mazura, jedna śliczna panienka podszedłszy do Starzyńskiego, zapytała czemu nie tańcuje?—Ze wstydem wyznać muszę—odrzekł zagadniony, że nie umiem, chociaż się onego czasu uczyłem.—Wielka szkoda— rzekła dziewczyna, miałbyś pan ze mnie niezmordowaną tancerkę! Ale że pan nie tańcujesz, to powinieneś zaśpiewać nam jaką śliczną piosneczkę. — Prosimy! prosimy! zawołało całe grono.

Starzyński, patrząc w oczy ślicznemu dziewczęciu, zaśpiewał zaraz mazurka:

„Układ ze mną zrób dziewczko,
Z oczywistym twoim zyskiem:
Dam ci piosnkę za piosneczką,
Ty mi uścisk za uściskiem.
Przy układzie tym obstawaj,
A gdy małe widzisz zyski;
Ty mi piosnek nie oddawaj,
Ja ci oddam twe uściski.“

Oklaski zagłuszyły muzykę, która nowego mazura grać zaczynała. Mojem zdaniem, Beranżer nic piękniejszego, nic dowcipniejszego nie zaśpiewał. W takim rodzaju są wszystkie erotyczne piosenki Starzyńskiego. Wartoby je drukiem ogłosić, ale już nie wiem gdzie się obracają zeszyty Sabińskiego ręką przepisane*).

W epoce przybycia mego do Zamiechowa, Starzyński, literatury niemieckiej zwolennik, pracował nad tłómaczeniem lirycznej tragedyi Grillparcera: die Ahnfrau (Matka rodu), w czterech aktach, ośmiozgłoskowym wierszem. Ta sztuka w oryginale pisana jest w części rymowym, w części białym wierszem, trzeci akt cały nie rymowy. Starzyński w tłumaczeniu poszedł za oryginałem, przez co swój przeprzekład pozbawił jednego z największych wdzięków poezyi polskiej, w której rytm nie zastąpi końcówki. Długośmy się o to z nim spierali, aż nareszcie dał się przekonać lecz nie chcąc się zajmować nudnemi przerabianiami dokonanego dzieła, zwalił to na moje barki. Tak więc cały akt trzeci jest właściwie mego tłumaczenia. Sztuka ta po raz pierwszy graną była w Kamieńcu, gdzie ją z największemi

*) Znajdują się we Lwowie w ręku przyjaciół zmarłego. R.

przyjęto oklaskami. Rola Jaromira była tryumfem dla Seweryna Malinowskiego, wybornego aktora, który na najświetniejszym Warszawskim teatrze mógłby się chlubnie popisać. Wystawiano ją później w Warszawie i Lwowie, z równem powodzeniem. Mimo to jednak są w niej wady, którym Grillparcer zwykle ulegał: zanadto wiele fałszywej egzaltacyi i szumnych wykrzykników, któremi ten pisarz często zastępował brak dramatycznej wzniosłości.

Po *Matce rodu* wytłumaczył Starzyński *den 29 Februar* Müllera, małą tragiczną sztukę, miernej wartości, i zaczął przekładać piękną, tegoż autora, tragedyą, pod tytułem: *die Schuld* (Przewina), w czterech aktach, wierszem lirycznym, Grillparcerowskim, ale nie skończył tej pracy. Dopiero w dwadzieścia lat później ja tego dokonałem, i przetłumaczone przez siebie dwa ostatnie akty włożyłem w tekę Starzyńskiego. Piękna to sztuka, ale ma te same wady co i Matka rodu; dotąd nigdzie graną nie była *). Starzyński do swych tragedyj wielką przywięzywał wagę, nie dbając o piosnki; tymczasem o pierwszych prawie zapomniano, kiedy ostatnie dotąd z ust do ust przechodzą.

Galerya mężów stanu.

1) Hrabia Strafford de Redcliffe.

Aż do roku 1852 zwał się Strafford Canning. Zostawszy parem przybrał nazwisko Redcliffe. Pochodzi on z znakomitej rodziny kupców angielskich, wyniesionej do godności i parów. Sławny minister Canning był jego bliskim krewnym.

Dzisiejszy poseł angielski w Stambule, urodził się w r. 1786. Mając lat 10 posłany był do szkoły w Eston, gdzie posyłają synów najznakomitszej arystokracyi. Ztąd udał się do Cambridge, gdzie został członkiem kolegium królewskiego. Nie czekając graduacyi na magistra, porzucił Cambridge. Stryjeczny bowiem brat jego, wówczas sekretarz spraw zagranicznych, powołał go do siebie. Było to w r. 1807. Z początku był sekretarzem prywatnym ministra, lecz już w tym samym roku towarzyszył ambasadorowi Merry w poselstwie do Danii a w roku 1808 z ambasadorem Adair posłany był do Konstantynopola. Poselstwo to znalazło Turcyą bardzo nieprzychylną Anglii, z powodu wizyty, ktorą flotta angielska w r. 1807 oddała Stambułowi. Pomimo tego zręczności posłanników udało się zawrzeć w pierwszych dniach r. 1809 pokój między Anglią i Turcyą. Do tego wypadku tak wiele przyczynił się młody Canning iż już r. 1810 został mianowany sekretarzem poselstwa, a gdy Adair'a odwałano, i ambasadorem. Rossya wtedy była w wojnie z Turcyą a tu i Napoleon (1812) posuwać się począł z wojskami swemi ku Wiśle. Anglii zależało wiele na tem aby między Rossyą a Turcyą przyszedł pokój do skutku i Rossya mogła swe wojska, wysłane nad Dunaj, cofnąć i przeciw Napoleonowi obrócić. Przekupstwem i namową skłonił Canning Turcyą do zawarcia pokoju w Bukareszcie. Był to pierwszy tryumf, jaki Canning odniósł w swym zawodzie.

*) We Lwowie grana była w r. 1843. R.

Odwołany później z Stambułu, gdy wrócił do ojczyzny, udał się znowu do Cambridge, i chcąc złożyć dowód iż nie nadaremnie spędził lat kilka w zakładzie, świetny examen odbył i graduowany został na magistra sztuk wolnych i *baccalaureusa artium*.

Choć minister pełnomocny i zastępca Króla u mocarstwa pierwszego rzędu, nie wstydził się ubiegać o tytuł magistra. W Anglii bowiem nauki klassyczne w tak wysokiem stoją poważeniu, iż najpierwsi mężowie stanu szczycą się graduacyą akademicką.

Gdy whigowie wrócili do steru rzędu, Strafford Canning użyty był do rozmaitych szczegółowych poleceń. W r. 1814 posłano go do Szwajcaryi, gdzie wspierał ukonstytuowanie się kantonów w federacyą republikańską. Ztamtąd udał się na kongres wiedeński. Dopiero w r. 1820 został mianowanym stałym ambasadorem do Stanów Zjednoczonych. Pokój gandawski był zanadto pospiesznie zawarty, i najważniejsze kwestye zostały nierozstrzygnięte. Po trzechletnich usiłowaniach zawarł Canning z Stanami ugodę, która jednak nie zyskała sankcyi rządu angielskiego.

Odwołany z Ameryki w r. 1823, już w następnym roku z osobnem poleceniem wysłany został do Petersburga. Pozornie miał niby pośredniczyć w imieniu Anglii przy ugodzie między Rossyą a Zjednoczonemi Stanami, o granice w północnej Ameryce, a istotnie miał się porozumieć z Carem Alexandrem względem Grecyi. W tym samym celu Canning wracał na Wiedeń i Berlin, a w następnym roku mianowany ambasadorem do Stambułu, dłuższy czas jadąc tam, bawił w Korfu celem zbadania stosunków greckich i porozumienia się z znakomitszymi Grekami. W Konstantynopolu miał sułtana ująć, aby był przyjaźniejszy Grekom, a z Rossyą zawarł ugodę. Pierwszego osięgnąć nie mógł, traktat rossyjsko-turecki przywiodł jednak do skutku. Gdy w r. 1827 mocarstwa europejskie rozpoczęły konferencye w Londynie w sprawie wschodniej, powołano z Stambułu Canninga, jako męża stanu, który konferencyi co do stosunków Turcyi najlepsze mógł dać informacye. Po zamknięciu konferencyi londyńskich wrócił do Stambułu, aby za Grekami i nadal przemawiać. Sułtan rady jego słuchać niechciał. Strafford zerwał stosunki z Turcyą i wyjechał z Stambułu. Nastąpiła bitwa pod Nawarinem. (C. d. n.)

Rozmaitość.

* **Cesarzewicz Jego Mość** ósmego tego miesiąca powrócił do Lwowa. U rogatek miejskich witany był przez p. burmistrza i licznie zgromadzonych obywateli. Cesarzewicz zwiedził fabrykę żelaza w Zakopanem i na Czorsztyn, trzy dni zabawiwszy w Tatrach, traktem podgórskim przez Sanok i Sambor wracał do Lwowa, zwiedzając po drodze wszędzie urzęda i zakłady publiczne, mianowicie szkoły. Wszędzie zbierali się bardzo licznie obywatele, i prezentowali się Cesarzewiczowi.

* Nieznane dotąd widowisko ściąga tłumy w Paryżu do teatru Porte-Saint-Martin. Świeżo przybyła trupa sztukmistrzów chińskich jest celem tej ciekawości publicznej: Jakoż rzeczywiście niepodobna sobie wyobrazić pocieszniejszych karykatur. Parawany, wachlarze, herbatniczki, nic a nic nie przesadziły chińskiej brzydoty; cudaki, które na nich nieraz podziwialiśmy, uważając je za wybryk niesmacznej fantazyi, są najwierniejszym dagierotypem z natury zdjętym. I pomyśleć dopiero, że jest ich tam takich 300,000,000 na jeden model ulanych, i że patrzą na siebie bez śmiechu!

Dziwny, niepojęty to naród: starzec i dziecko zarazem, znał jeszcze przed potopem wszystkie wynalazki Europejskiej oświaty, jakoto: igłę magnesową, proch, druk, studnie artezyjskie, gaz, i nie posunął się odtąd ani na krok dalej. Smiesznie-poważny, poważnie-szalony, pełen zepsucia, namiętny na zimno, oczytany i ograniczony zarazem, jada za przysmaki psy zdechłe i gniazda jaskółcze, a mówi jakby niemowlę w kolebce oderwanemi zgłoskami bez ładu, ani związku.

Po krótkiej sztuczce, która służy za prolog Chińczykom, wychodzi na scenę mandaryn O-Mi-To-Fo, człowieczek maleńki, z wielką głową. rodzaj porcelanowej pagody, z 12stą towarzyszami monstrualnej brzydoty, w sukniach atłasowych, pomalowanych w węże i smoki. Mandaryn siada w krześle, a orszak wybija mu pokłony. Potem dwunastoletni chłopiec, podobny do czerwonego jabłka, z czarnemi ślepkami, z uszami mocno od głowy odstającemi, wyrzuca w powietrze trzy różno-kolorowe lśniące kule, które chwyta i odbija z nadzwyczajną szybkością, to nogą, to wachlarzem, a kule krążą koło niego ciągle jak świętojańskie robaczki, powracając doń zawsze jakby magnesem przyciągane. Następnie ów chłopczyna skacze z niepojętą zręcznością, chodzi na głowie, i przewraca koziołki trzymając w zębach filiżankę, talerze pod pachą i między kolanami, ani jednego z nich nie rozbiwszy. Wszystkie te sztuki dzieciak dokazuje bez żadnego wysilenia ani zmęczenia, z najpocieszniej błazeńską miną, jaką sobie tylko wyobrazić można. Po nim dwaj Chińczyki przynoszą długi bambus. Gdyby ktoś utrzymywał, że można podnieść siebie samego za włosy, nie uwierzylibyście dotąd, ale w teatrze Porte-Saint-Martin przekonałem się, że można. Mieszkańcy *państwa niebieskiego* mają, jak wiadomo, ogoloną głowę, na jej wierzchu tylko długi kosmyk zostawiają, i splatają go w warkocz. Otóż dwaj Chińczyki trzymają bambus, a trzeci siada na podłodze z podwinionemi nogami, przekłada przez bambus swój warkocz, chwyta za drugi jego koniec, i jak wiadro korbą ze studni ciągnione, okręca swój sznur na walcu, tak on przerzuca się, zniża, to znów podnosi na owym naturalnym sznurze, przyrosłym na środku czaszki. Nie jestże to prawdziwie chińska sztuka, bo wykonalna tylko przez Chińczyka? Grzmotem oklasków przyjęto tę osobliwszą gimnastykę.

Sztukmistrze wykonywali potem wiele jeszcze zabawnych łamanin w tym rodzaju: ale zakończyli widowisko straszną, niesłychaną dotąd igraszką, na którą patrząc, włosy na głowie powstają.

Jeden z nich kładzie na przybitej desce otwartą rękę, drugi staje naprzeciw niego opodal, a mając w ręku pęk ostro zakończonych nożów, rzuca jedne po drugich na deskę, w którą wbijają się między palcami człowieka... Jeden włos w tę lub owę stronę, a ręka byłaby przybita do deski. Doprawdy nie wiedzieć, którego z tych dwóch ludzi więcej podziwiać: czy tego co rzuca noże, czy tego co mu za cel służy? Cóż za pewność siebie, krew zimna i niepojęta odwaga! Ale niedosyć na tem: Chińczyk zamiast ręki, głowę podaje, a noże świszczą i wokoło niej utykają... Jedno drgnięcie muskułu w ciskającej ręce, o śmierć drugiego przeprawia!

Przyznaję, że równie przerażajacej zabawy w życiu niewidziałem.

* Szamil jest w każdym względzie nadzwyczajnym człowiekiem. Lud jego jest mu oddany z duszą i ciałem. Umie on nietylko panować nad narodem lecz i nad samym sobą. Spokojny zawsze jak posąg marmurowy, czy wyrok śmierci ogłasza, czy nagrody rozdaje, nieruchoma jest zawsze twarz jego. Ani najlżejszego uśmiechu, ani najnieznaczniejszego drgnięcia powieką nikt nie dostrzeże. Posiada on w wysokim stopniu talent władania i rozkazywania światu. Waleczny wojownik, jest oraz natchnionym kapłanem, zręcznym organizatorem i administratorem krain jemu podległych, równie jak i najsławniejszym mówcą jaki dotąd istniał na Kaukazie. Poeta o nim mówi, iż z oczu strzela pioruny a z ust kwiaty sypie. Jego proklamacye, to są wzniosłe ody. On na Kaukazie jest razem i Leonidasem, i Likurgiem i Tyrteuszem. Gdy Rossyanie w swych proklamacyach głoszą, że wojska ich są tak liczne jak ziarnka piasku w morzu, Szamil odpowiada im, iż jego towarzysze są jak morze, które rozhulawszy się, zmywa ów piasek i porywa z sobą jak gdyby go nigdy niebyło. Do Kabardyńców odzywa się w te słowa: «Nie wierzcie temu, iż Bóg sprzyja tam gdzie jest przemoc co do liczby. Bóg wspiera dobrych, których zawsze mniej bywa niż bezbożnych. Patrzcie w około! Czy nie mniej jest róż niż chwastu? Nie więcej błota niż pereł? Nie więcej szkodliwych owadów, niż pożytecznych źwierząt? Czy nie mniej jest szlachetnego złota niż kruszczów podłych? A czy my nie jesteśmy szlachetniejsi, lepsi od złota, pereł, i najpożyteczniejszych źwierząt! Wszystkie wspaniałości świata przeminą, my tylko jedni wiecznie istnieć będziemy. A gdy więcej jest chwastu niż róż, czy nie mamy go wygubiać pierwej, mamyż czekać aż chwast je zagłuszy? Gdy nasi nieprzyjaciele są liczniejsi od nas, czy mądrze by to było czekać, aż nas w swe sidła ułowią całkowicie? Nie mówcie: Wrogi nasze usadowili się już w Czerkei, w Achulce i w całej Awaryi. Gdy piorun uderza i powala j e d n o drzewo, czyż dla tego drzewa inne kłonią swe wierzchołki i z trwogi kładą się już same pokotem? O wy niewierni, idźcie za przykładem który wam drzewa dają w lesie. Gdyby mówić mogły, zawstydziłyby was. Gdy robak owoc j e d e n nadtoczy, czyż owoce innne gnić mają przeto z obawy aby je również robak nie naruszył?.. Nie trwożcie się przeto iż wrogi nasze nieustannie nowe wojska wysyłają przeciw nam, miasto tych wojsk które wytępiamy. Albowiem mówię wam: Nim jedno drzewo pożyteczne dojdzie do swej dojrzałości, wyróść mogą tymczasem tysiące zatrutych muchomorów. Ja jestem korzeń w drzewie wolności, Murydzi moi to pień, wy zaś jesteście konarami. Nie myślcie iż drzewo całe usychać będzie, gdy jeden konar uschnie. Bóg sam odłamie suche konary i rzuci je piekielnemu ogniu na pastwę. Nawróćcie się więc i stańcie znowu w szeregach naszych, którzy walczymy za wiarę!»

* O ważności jako też i celu zakładów wychowania młodzieży zbyt wiele już pisano i zbyt wiele przytaczano dowodów, ażebyśmy jeszcze w tym względzie obszernie rozprawiać, i znane już powszechnie frazesa na pamięć przywoływać potrzebowali. W ostatnich czasach pojawiło się w państwie austryackiem mnóstwo podobnych zakładów. Każde niemal główniejsze miasto posiada takowych kilka. Nie wszystkie jednak odpowiedziały i odpowiadają wymaganiom czasu i oczekiwaniom powszechności. Wiele z nich pomimo ogromnych planów i arkuszowych, samochwalstwem tchnących programów, zaraz w początkach swego istnienia musiały ustąpić miejsca innym, których przedsiębiorcy wprawdzie skromniejsze, ale też za to szczere, a nie łudzące ogłaszali prospekta. Owoż pomiędzy wszystkiemi teraz w państwie austryackiem istniejącemi zakładami wychowania młodzieży mężkiej, zakład pana Schuberta w Wiedniu bezsprzecznie pierwsze zajmuje miejsce. Przedsiębiorca, mąż nader światły i wszechstronnie wykształcony, od młodzieńczych już lat trudniąc się udzielaniem nauk, po ukończeniu zaś własnych studiów zupełnie oddając się zawodowi pedagogicznemu, znaczne na polu wychowywania młodzieży uzbierał doświadczenia, i dla tego też coraz większego doznaje zaufania. Najlepszym tego dowodem jest wzrastająca z każdym rokiem

liczba powierzonych mu wychowańców. Obecnie liczy ten zakład sto kilkadziesiąt uczniów, pomiędzy którymi kilkunastu Polaków. Ponieważ program, w którym urządzenie całego zakładu tego, jakoteż i wszelkie przyjęcia warunki szczegółowo wyrażone, w krótce w polskim wyjdzie języku, i we wszystkich księgarniach dostać go będzie można, przeto nadmienimy tylko, iż w zakładzie tym udzielane są nauki szkół elementarnych, niższej i wyższej szkoły realnej, ośmiu klas gimnazyalnych, a nakoniec kursu komercyjnego, urządzonego na sposób szkoły handlowej Lipskiej. Popisy odbywają się publicznie a uczniowie otrzymują legalne zaświadczenia. Oprócz języka niemieckiego udzielane są także języki: polski (wraz z historyą literatury,) francuski, angielski, włoski. Historya powszechna lub też pojedynczych narodów wykładana jest w języku polskim, niemieckim lub też francuskim; matematyka zaś i nauki przyrodzone, mianowicie fizyka i chemia, w polskim i niemieckim. Wszyscy wychowańcy pobierają także nauki w kaligrafii, w rysunkach i malarstwie, a to według potrzeby, w rysunkach architektonicznych, krajobrazów lub kwiatów, niemniej też w muzyce, śpiewie, tańcach i ćwiczeniach gymnastycznych. W końcu dodać musimy, iż pan Schubert mówi po polsku, a nauczyciele w znacznej części są Polacy.

* Wynalazek professora Glückman dla zaprowadzenia komunikacji pomiędzy konduktorem pociągu na kolei żelaznej a mechanikiem, udał się zupełnie. Przyrząd umieszczony na pociągu osobno z nim wyprawionym na próbę z North-Western do Londynu był czynny przez dni kilkanaście. Druty kommunikacyjne są obwinięte gutta-perchą i przywiązane do każdego wozu w skrzyni drewnianej, umieszczonej u spodu. Paski obejmujące druty są elastyczne i mogą się rozciągać podług długości pociągu. Baterja ustawiona jest na tenderze, a dzwonek na lokomotywie. Konduktorowie mogą dać znak, pociągając za gałkę, która porusza dzwonek. Przyrząd ten był doświadczany w wielu różnych wypadkach. Krzyżując się z pociągami, przechodząc tunele i t. d. Wielką jego użytecznością jest to, że w ten moment działa.

* **Sposób nadania trwałości drzewu.** Naczynie drewniane np. beczkę, napełnia się rzeczną wodą, w której (na 100 części wody 1 część) rozpuszcza się siarkan miedzi; w roztwor ten wstawia się w cieniu świeżo ścięte kawały drzewa klockami. Ciecz której często dolewać należy, wstępuje w drzewo codziennie na dobre trzy ćwierci łokcia mniej więcej, tak, iż przeciąg czasu do tej czynności potrzebny, od długości drzewa zależy. Chcąc się przekonać do jakiej wysokości ciecz przesiąkła w drzewo, trzeba w nim wyciąć wiór, a świeże nacięcie zmoczyć rozczynem alkali, znanego w farbiarstwie pod nazwiskiem Blutlaugensalz; jeżeli siarkan miedzi już tam doszedł, to w minucie miejsce to będzie czerwono-brunatne. Za pomocą tego prostego środka, można drzewu nadać trwałość prawie niepożytą. Tym sposobem przygotowują dziś pokłady do szyn wielu niemieckich kolei żelaznych.

* Odkrycie rośliny, *Seradella* zwanej, jest w historyi rolnictwa jednem z najważniejszych zdarzeń. Ta nowa roślina pastewna z rodzaju wyki, przyczyni się niezawodnie do podniesienia rolnictwa, osobliwie w okolicach piaszczystych. *Seradella* (ornithopus sativus), pochodzi z Portugalii i rośnie w suchej piaszczystej lub kamienistej ziemi, gdzie nic innego róść nie może. Kosi się dwa razy do roku. Raz gdy na stopę podrośnie, drugi raz gdy dwa do trzech stóp ma wysokości. Wszystkie doniesienia o czynionych próbach mówią jednozgodnie o obfitem żniwie i wielkiej użyteczności tej rośliny. Sieją ją w marcu lub kwietniu na pole przysposobione jak pod hreczkę, 8 do 10 funtów na morg. Oprócz tego siać ją równie można w marcu na oziminę, a w kwietniu lub maju na wschodzący owies lub jęczmień. Po uskutecznionych żniwach oziminy i jarzyn, na tej samej potem roli w jesieni kosi się Seradella, a zbiór jej bywa bardzo obfity. (Frauendorfer Blätter.)

* Gazette de France utrzymuje, iż wprowadzona z północnych Chin *roślina cukrowa* niezawodnie usunie buraki cukrowe. Agronom Villmorin rozpisał się o tem szeroko, i donosi, iż tej rośliny na hektarze o 30,000 kilo bywa więcej niż buraków. Przytem sok ma czyściejszy, obcych nieużytecznych części mniej i wydaje o połowę więcej cukru.

Przyjechali od dnia 9 do 12. czerwca do Lwowa:

PP. Teodorowicz Jerzy, z Potocka. Krasicki Piotr, hr. z Rohatyna. Bal Franciszek, z Tuligłów. Jankowski Jan, z Drohobycza. Madejski Piotr, ze Żurawna. Dieduszycki Kazimierz, hr. z Niesłuchowa.

PP. Majewski Jan, z Brzeżan. Rylski Antoni, z Kołomyi. Torosiewicz Józef, z Kamionki. Golejowski Józef, hr. z Wiednia. Wolański Franciszek, ze Rzepnic.

PP. Sozański Tytus, ze Stanisławowa. Sozański Wincenty, z Czortkowa. Fredro Henryk, hr. z Dubanowic. Lewicki Józef, z Bonowa. Dieduszycki Włodzimierz, hr. ze Żółkwi. Gutkowski Ferdynand, z Horysławic. Sobota Karol, z Podhorek.

PP. Flondor Jerzy, z Czerniowic. Mikuli Jakób, ze Stanisławowa. Lipiński Gustaw, z Orłowa. Siemiński Wilhelm, hr. z Jarosławia.

Wyjechali od dnia 9 do 12. czerwca ze Lwowa:

PP. Bartmański Emil, do Iwonicza. Zieliński Jan, do Brzeżan. Zatorski Teodor, do Zatora. Babecki Kajetan, do Stanisławowa. Lanckoroński Teodor, hr. do Narola. Raczyński Jakób, do Jaworowa. Wojna Ignacy, do Pietrzyc. Malczewski Stanisław, do Cześnik.

PP. Brunicki Józef, br. do Podhorec. Fredro Edward, hr. do Przemyśla. Dieduszycki Kazimierz, hr. do Bartatowa. Nahujowski Antoni, do Czernicy. Teodorowicz Jerzy, do Potoczka. Dieduszycki Zygmunt, hr. do Złoczowa.

PP. Dunik Jan, do Głęboki. Ulieniecki Wincenty, do Wolicy. Walewski Aleksander, do Kłodna. Czacki Aleksander, hr. do Krechowa. Skolimowski Julian, do Dynisk. Starzeński Michał, hr. do Przemyśla. Lewicki Kajetan, hr. do Chorostkowa.

P. Smarzewski Nikodem, do Truskawca.

Kurs lwowski.

Dzisiejszy.		Gotówką				towarem.		
Dukat holenderski	złr.	6	kr.	12	złr.	6	kr.	18.
Dukat cesarski	"	6	"	15	"	6	"	20.
Półimperyał zł. rosyjski	"	10	"	45	"	10	"	50.
Rubel srebrny rosyjski	"	2	"	4	"	2	"	5.
Talar pruski	"	2	"	—	"	2	"	1.
Polski kurant i pięciozłotówka	"	1	"	30	"	1	"	31.
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr.	"	92	"	24	"	92	"	40.

Kurs telegrafowany z Wiednia wczoraj o 2 g. popołud.

Amszterdam	$111\frac{3}{4}$.	Marsylia	$156\frac{1}{2}$.
Augsburg za 100 złr.	$133\frac{3}{4}$.	Medyolan za 300 lirów	$132\frac{3}{4}$.
Bukareszt	—.	Paryż za 300 franków	$156\frac{3}{4}$.
Frankfurt za 120 złr. podług		Agio duk. ces.	
$24\frac{1}{2}$ stopy	$133\frac{1}{4}$.	Srebra agio	33.
Genua	—.	Pożyczka 5%	$86\frac{1}{2}$. $4\frac{1}{2}$ —.
Hamburg za 100 tal. banco.	$98\frac{1}{2}$.	Pożyczka lit. B.	—
Konstantynopol	—	Akcye banku	1250.
Liwurno	$129\frac{1}{2}$.	Kolej północna	$2137\frac{1}{2}$.
Londyn za 1 funt szterl.	13.	Obl. ind.	5%. —

☞ **Dla święta w czwartek, numer następny wydawany będzie jutro o godzinie 6tej wieczór.**

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**